Dodatek do Miesięcznika Nr. 7. i 8. z r. 1903.

DLA MŁODSZYCH.

JASKÓŁKI.

NAPISAŁ

M. RYBOWSKI.

Już to jaskółka, jako najbliższa sąsiadka dzieci, widzi nieraz ze swego gniazdka. wprost nad oknem ulepionego, jakto dzieci śpią w najlepsze, kiedy ona już obleciała całą okolicę.

Jaskółka bowiem wstaje bardzo rano, gdyż śniadanie dla dzieci bardzo mozolnie przygotować musi.

Nie może im dać ziarnek jęczmienia prosa, albo czystych jagieł, bo młode jaskółki żadnych ziarn nie lubią. Nie może też nazbierać gąsienic albo jakich robaków, gdyż tymi jej dzieci się brzydzą. Jedzą tylko muszki, komary, małe motylki, chrząszczyki i tym podobne delikatne owady, które jaskółka w locie chwyta, szeroko rozdziawiwszy swój krótki, spłaszczony dzióbek.

Dlatego to ona tak pilnie, nawet tak zapamiętale lata wysoko w powietrzu, jeżeli jest pogoda, bo wtedy i owady się podnoszą. Fruwa nisko nad ziemią, gdy jest pochmurno i na deszcz się zanosi, gdyż wtedy muszki i komary tuż nad ziemią latają.

Gdy wśród lata zdarzą się dni chłodne i dżdżyste, wtedy widzimy, że jaskółki uwijają się około pomieszkań ludzkich, albo około bydląt na polu latają. Dlaczego to czynią? Bo owady ukryły się przed zimnem — tylko uprzykszone muchy kręcą się około bydląt i ludzi, więc na nie jaskółki polują. Zwyczajnie jak mądre ptaszki, idą zawsze tam, gdzie znajdą pożywienie dla siebie i swych dzieci.

A dzieci te, jak dzieci, nie pytają skąd matka weźmie, albo czy ojciec zarobi, tylko krzyczą i piszczą: jeść! Więc biedne jaskółki cały dzień latają bez wytchnienia za tem pożywieniem tak, że na śpiew nie mają czasu.

Co prawda nie umieją też zbyt pięknie śpiewać. Jak to zwykle bywa, kto cały dzień za pracą się ugania, temu śpiew nie w głowie, więc i jaskółki tylko trochę szczebiotać umieją.

Na wiosnę, gdy piskląt nie mają i tylko budową gniazdka są zajęte, o! wtenczas dużo szczebiocą, jakby sobie co opowiadały.

A mają co opowiadać, bo to i przygody rozmaite bywają wśród lotu za żerem, jak np. spotkanie jastrzębia i ucieczka przed nim, albo ostrożnie ominięte sidła, jakie czasem niegodziwi chłopcy na ptaszki zastawiają i inne dziwy i niebezpieczeństwa. Wszystko to przecie opowiedzieć trzeba sąsiadkom. Nie wiadomo tylko, czy się też pochwali jedna przed drugą, że czasem pszczółkę schwyci i dzieciom przyniesie, bo tego właściwie czynić nie powinne.

A zdarza się to w pośpiechu, bo często jaskółki i nie widzą, że to pszczółka z miodem do domu powraca, tylko buch! wpadną na nią, chwycą, a młode jaskółczęta połkną, pochwalą, że smaczna i nie pomyślą o tem, że szkoda pracowitej pszczółki.

Pomimo, że jaskółka czasem tak ciężko zawini, że pszczółkę pochwyci i zje, jest ona jednak nadzwyczaj pożyteczną.

Pewnie same już sobie, kochane dzieci, mniej więcej wyobrazić i policzyć możecie, ile to ona przez dzień musi nachwytać tych much, komarów i innych owadów, aby wyżywić siebie i dzieci swoje, a ma ich zwykle 4 do 5 — i to dwa razy w ciągu jednego lata.

Byłoby więc wielkim grzechem zabijać jaskółki, albo chwytać i do klatki wsadzać. Jaskółki w klatce chować nie można, gdyż jej żadne inne jadło nie smakuje, tylko to, co ona sama sobie chwyci, latając w powietrzu.

Pan Bóg stworzył ją do latania. Nie dał jej barwnego upierzenia, ani daru do pięknego śpiewu, ale obdarzył ją skrzydłami do szybkiego lotu.

Jaskółki są ptakami bardzo towarzyskiemi. Gniazdka budują blisko jedne drugich. Często pod jednym dachem mieszka kilkadziesiąt rodzin jaskółczych.

W niebezpieczeństwie pomagają sobie, gdy jedna zacznie piszczeć zobaczywszy kota lub jastrzębia, wtedy zaraz przylatują towarzyszki i wszystkie razem piszcząc, ścigają wroga.

Niekiedy zdarza się, że wróbel niecnota zabierze jaskółkom gniazdo. Wtedy pokrzywdzone zwołują na pomoc towarzyszki.

Gdy prośby nie pomagają, a wróbel ustąpić nie chce, wówczas jaskółki prędko zamurowywują wylot z gniazdka i rabusia w niem tak, że za swą chciwość i grabież musi ginąć marnie.

Jaskółki są dzielnymi murarzami. W niespełna dwa dni zbudują sobie domek okrągławo łukowaty a trwały. Gniazdko dlatego mocne, bo jaskółki spajają grudki błota lepką śliną, którą mają w pyszczku.

Jaskółki miejskie różnią się od wiejskich. Pierwsze zowią się murówki, a drugie strzechówki.

Tak mieszczanie jak i wieśniacy kochają jaskółki i cieszą się, gdy pod ich dachem ulepią gniazdeczko. Jaskółki zdaje się o tem wiedzą, bo z radością do nas przylatują na wiosnę i lepią gniazdeczko, albo naprawiają zeszłoroczne. Nasi ojcowie wierzyli, że jaskółki przynoszą błogosławieństwo temu domowi, gdzie gniazdko założą — i my tak samo wierzymy.

Źli więc byliby ludzie i złe te dzieci, któreby zabijały lub ohwytały jaskółki, albo też psuły im gniazdka.

Na zimę odlatują te ptaszki do Afryki, do kraju murzynów, gdzie niema śniegu ani mrozu, ale wiele owadów. Muszą przebyć daleką a uciążliwą podróż, bo aż za morze.

Przed odlotem z naszej ojczyzny gromadzą się w liczne stada i gwarzą głośno i żałośnie, jakby na pożegnanie.

Kochają naszą ojczyznę, gdzie się urodziły i wychowały. Na obczyźnie gniazdek nie budują, a na wiosnę z tęsknotą do nas powracają.

Skowronek a rolnik.

Zaledwie śniegi stopniały, a już milutka ta ptaszyna wzbija się z radosnym śpiewem coraz wyżej, pod niebiosa, jakby chciała przed tron samego Boga zanieść swe pienia dziękczynne.

Rolnik raduje się, gdy po długiej zimie usłyszy kwilenie skowronka i równie jak ten ptaszek wstaje przed wschodem słońca do pracy.

Rolnik polski ukochał skowronka; może dlatego, że ten ptaszek wiernie mu towarzyszy przy pracy i swym śpiewem mu ją umila. Oracz nie zawsze wesoły, bo nachodzą go smutne

myśli, czy plonem, który zrodzi ziemia, zdoła wyżywić przez zimę swą rodzinę i bydełko w oborze.

A oto skowronek wysoko w błękitach tak długo świergoce, aż rolnikowi przypomni się, że jest Bóg, który nawet o najdrobniejszym robaczku pamięta — jakżeby miał zapomnieć o nim i o jego dziatwie!

Wtedy ochoty przybywa mu do pracy — raźniej popędza wołki albo koniki. Rozmiłowanem okiem wodzi po tej glebie szarej i spogląda na ulubionego śpiewaka, unoszącego się pod pod błękitnem niebem.

Z tej miłości ludu polskiego dla skowronka powstały rozmaite o nim piosenki i legędy.

I tak opowiadają, że przed bardzo dawnymi czasy, bo przed narodzeniem Chrystusa, skowronek uchodził za leniuszka. Wstawać o świcie nie lubił, dopiero około południa wychylał swój dzióbek na świat do słonka. Mówią, że wstydził się swego śpiewu i swej sukmanki szarej.

Dopiero w dniu, kiedy Zbawiciel umarł na krzyżu, aby odkupić ludzi, skowronek się obudził w południe, przetarł oczka, skrzydełkami strzepnął i wyfrunął w górę, aby pacierz wyśpiewać na chwałę Bogu. Lecz kiedy zawisł w powietrzu i spojrzał na dół, zamilkł ze zgrozy i litości.

— Boże! toć Ten, któremu przed tygodniem tłumy „Hosanna!“ śpiewały, dziś wisi na krzyżu!

Zlatując niżej widzi, że korona cierniowa wtłoczona na głowę Zbawiciela tak rani skronie Jego, że krew po obliczu spływa.

Zadrżało litością serduszko szarego ptaszęcia. Skwapliwie siada na ramieniu krzyża, z zajadłością poczyna wydziobywać kolce cierniowej korony, a chociaż mały i słaby, nie spoczął prędzej, aż wszystkie kolce wydziobał.

A Matka Boża widząc to rzekła: Ptaszeczku mój! Odtąd najpierwszy na wiosnę i najpierszy zrana śpiewać będziesz na chwałę Boga. Ty będziesz ulubieńcem tych wszystkich, którym w ciężkiej pracy pot leje się z czoła.

I tak się stało. Skowronek odwdzięcza się za tą miłość przywiązaniem do kraju rodzinnego, bo chociaż na zimę odlatuje w cieplejsze okolice, gniazdka tam nie ściele, tęskni zawsze za ojczyzną i wraca do niej jak najwcześniej. Gniazdko ściele na ziemi wśród oziminy.

Skowronek w pożywieniu stosuje się do pory roku. Z początkiem wiosny ma przednowek. Żywi się wtedy koniuszkami trawy i oziminy. Niebawem łaskawsze niebo zsyła ciepło, budzą się owady. Ptaszyna rozkoszuje w pożywaniu muszek, robaczków i chrząszczyków. Z pomiędzy ziarnek zboża najlepiej mu owies smakuje, który zręcznie z plewy obiera. Lubi także mak, proso i siemię, ale je zbiera tylko na ziemi, nigdy nie tłucze kłosów. Je ziarno wtedy, gdy owadów niema. Jest pożyteczny.

Wolność i swoboda, oto żywioł naszego skowronka. Niechże Bóg broni, żeby były na świecie takie dzieci, któreby skowronka więziły w klatce, albo młode wybierały! To grzech!

Słowik.

Stałym mieszkańcem naszych gajów i ogrodów od początku maja do końca sierpnia jest słowik.

Ślicznym śpiewem przewyższa wszystkie ptaki na świecie. Na ziemiach Polski od wieków nucą rzewnie słowiki. Wzbudzają zachwyt u ludzi zdolnych odczuć powab przyrody i dźwięk harmonijny. Wiadomo z dziejów, że śpiew słowików sprawiał rozkosz królowi naszemu Władysławowi Jagielle, co było powodem jego śmierci. Mając lat 80 przysłuchiwał się pieniom słowiczem w Medyce i w Gródku. Zaziębił się i umarł.

Śpiew słowika jest tem milszy, że odzywa się najpiękniej wtedy, kiedy inne ptaszki milczą, tj. w nocy.

Mając taki talent, nie potrzebuje słowik ubierać się w barwne szaty; ma więc skromną brunatno szarą sukienkę. Pomimo to każdy go szanuje, każdy go lubi i cieszy się, gdy go usłyszy.

Słowik lubi ludzkie towarzystwo i nie boi się nas, owszem gniazdko swe ściele w bliskości mieszkań ludzkich. Zapewne myśli, że mu nikt nietylko krzywdy nie wyrządzi, ale jeszcze od szkodników ochroni.

Gdy zobaczy kota, srokę lub jastrzębia, piszczy wzywając w ten sposób pomocy ludzkiej.

Kotowi nie trudno dostać się do gniazdka słowiczego, bo jest umieszczone wśród niskich krzaków. Gniazdko kleci niedbale z gałązek i liści.

Samczyk przez cały czas budowy gniazdka i wysiadywania jajeczek przez samiczkę, zabawia ją śpiewem, odpoczywając jedynie parę godzin po północy,

Słowik nie pozwala dzieciom wylegiwać się w gniazdku zbyt długo. Gdy się tylko opiórkują i chodzić nauczą, zaraz muszą same sobie zapracować na życie. Szukają sobie pokarmu blisko gniazdeczka.

Tak to każdemu, nawet ptaszkowi, dał Pan Bóg rozum, czy instynkt (zmyślność), który wskazuje mu, gdzie i jak najlepiej może uwić sobie gniazdko, gdzie znaleść najlepszy pokarm. Domyślicie się łatwo dzieci, dlaczego słowiki wszystkie gajówki, piegże, pliszki, jaskółki i rudziki u nas zimować nie mogą. Zginęłyby z głodu, więc lecą tam, gdzie zielone gaje i ogrody, a w nich mnóstwo owadów.

Słowik żywi się owadami, ich poczwarkami i jajkami, robaczkami, małymi ślimaczkami i jagodami, osobliwie pożeczki i bzu. Można go często spostrzedz na świeżo skopanych grządkach i ścieżkach ogrodowych, gdzie osobliwie po ciepłym deszczu za owadami ugania.

Na obczyźnie słowiki nie śpiewają, ani się gnieżdżs i z utęsknieniem oczekują czasu powrotu do ojczyzny — do miejsca rodzinnego. Tam przebywają słowiki podobnie jak ludzie podróżni w gospodach.

Chociaż słowik jest mądry ptaszek, przecież łatwo się ułowić daje. Wtedy doznaje wielkich cierpień niewoli i żyje niedługo.

Dowcipny kłusownik.

Na skraju wsi, niedaleko lasu mieszkający kłusownik urządził się bardzo zręcznie z polowaniem na zające. Oto umieszczał w ogrodzie sidła, a zwabiał do nich zające przechowanemi w tym celu główkami kapusty. Od sideł szedł sznurek do chaty. Gdy się zając schwytał, sznurek pociągał za dzwonek w chacie i kłusownik nasz szedł na pewniaka po pieczeń. Ale od czegoż żandarmerya i ludzkie oczy. Ktoś podpatrzył całą tę robotę i doniósł żandarmeryi, a ciekawy żandarm postanowił choćby całą mroźną noc przesiedzieć w zasadzce, byle kłusownika złapać na gorącym uczynku. Udało mu się to istotnie, ale niezupełnie. Ciekawy zajączek przycupał do kapusty, wpadł w sidła, dzwonek

dał znać o tem kłusownikowi i ten przyszedł po swą zdobycz. Gdy jednak już zająca trzymał za słuchy, żandarm wyrósł jakby z pod ziemi, i dalejże do kłusownika. Ale od czegoż dowcip i przytomność umysłu! Kłusownik najspokojniej w świecie podejmuje z ziemi pręt, wylicza zajęcowi kilka uderzeń w to miejsce, skąd mu wyrosłe dłuższe skoki, prawi przy tem całkiem poważnie: „A masz! a masz! za moje szczepy i kapustę“ — i puszcza szaraka w świat szeroki.

A tak, panie komendancie, powiada kłusownik po tym czynie do żandarma. - Nie mogę sobie dać rady z tymi szkodnikami, więc łapię ich i karzę, jak dzieci, rózeczką, a żaden po tej karze nie wraca więcej do mego ogrodu.

Nie było co na to odpowiedzieć. Żandarm odszedł, nic nie wskórawszy.

JAKÓB HODUR.

PRZYJACIELE.

— Mamo, a prędko będą święta?

— Za trzy niedziele.

— A co będziemy mieli na święta?

— Jak ojciec wróci z zarobku, przyniesie co pieniędzy, to kupimy chleba, masła, a może i kiełbasy...

— O matusiu, kupmy taki wielki bochenek!

Tu zatoczył Ignsś chudą rączką przed sobą ogromne koło, chcąc dać matce pojęcie, o jak wielkim bochenku myśli.

— Dobrze, kupimy taki bochenek, że go nawet nie uniesiesz do święcenia, byłe tylko ojciec co zarobił.

— A jak nic nie zarobi?

— To nie wiem, co będziemy jedli.

— A matka to niema nic w skrzynce? Przecież mnie się zdawało, że mama ma jakieś pieniądze w węzełku — tam pod półskrzynkiem — ja tam dobrze widzę wszystko.

— Ty musisz wszędzie swoje trzy grosze wścibić, chciałam ci za te centy kupić na koszulę, boś tamtą do cna stargał. Przecie święta nadchodzą, a tobie te kościska chude wyzierają przez dziury.

— Mamusiu, a możeby mamusia upiekła kołaczy, to musi być bardzo dobre.

— Czego ci się też nie zachciewa, ty głuptasie. Na kołacze cię nie stać. Do tego trza mąki najświatlejszej, jaj, mleka, sera...

— Oj matusiu, toby dopiero było!

— Jak urośniesz, a zarobisz sobie, to będziesz mógł jadać takie przysmaki.

— Ser, masło, mleko, jaja, światła mąka — powtarzał Ignaś na pół głośno i wyobrażał sobie w swej główce, że trzeba długo pracować, żeby mieć na święta piękne, pachnące kołacze.

— Niech no urosnę!

I usiadł koło progu, nieodaleko piorącej bieliznę matki, powsuwał za koszulinę, która stanowiła całe jego ubranie, cienkie nożęta, tak, że brodę wsparł o kolana i myślał o tem, jak to dobrze, że nadchodzą święta, bo będzie miał nową koszulę, mamusia pójdzie do miasta, kupi ogromny bochenek chleba do święcenia, kupi masła, a może i kiełbasy...

Ta myśl tak pochłonęła całą jego istotę, że zapomniał o rzeczywistości i tylko z lekka chwiał się to w jedną, to w drugą stronę i śnił o przyszłych rozkoszach.

Matka spoglądała na niego z boku od czasu do czasu, a w oczach jej przebijały się, to miłość, to litość, to lęk.

— Ignasiu, bo podrzesz do reszty to koszulsko.

Ignaś nie zrozumiał słów matui, gdyż myśli jego błąkały się w krainie nieznanej, dalekiej, fantastycznej, lecz dziwnie pięknej.

On oczekiwał gościa, który miał wrócić z bardzo dalekich stron. Gościem tym nie był nikt inny, tylko bocian, Waluś, jego najmilszy przyjaciel. Dawno go nie widział. Pamięta doskonale, jak w jesieni zeszłego roku odleciał ze swymi towarzyszami. Wzbił się wysoko, tak wysoko, że Ignaś ledwo go swym wzrokiem doścignął. Patrzał za nim długo, aż stopniał, rozpłynął się w obłokach.

— Gdzie on poleciał? — myślał w swej główce. — Mówią, że do ciepłych krajów. I starał się malec nadążyć mu myślą w locie i zalecieć do tych krajów ciepłych. Tam pewnie niema zimy i głodu.

Przeszła zima, a z wiosną przylatują bociany, więc Ignaś wybiegał na wzgórek i wpatrywał się w strone odlotu swego przyjaciela.

(Dokończenie nastąpi.)

Z drukarni Ludowej we Lwowie.